

0.30

PIĘC CIEKAWYCH

POWIASTEK

1. Śmierć. — 2. Złapał się.
3. Licytacya. — 4. Jabłoń.
5. Brelok.



1910

PIĘĆ CIEKAWYCH POWIASEK

Książka w zbiorze Biblioteki

PIĘĆ

CIEKAWYCH POWIĄSTEK

1. Śmierć. — 2. Złapał się.
3. Licytacja. — 4. Jabłoń.
5. Brelok.



1910



ŚMIERC.

Przed paru laty świat ucywilizowany otrzymał smutną wiadomość o zgonie profesora Nothnagel'a jednego z najgenialniejszych lekarzy, a zarazem myśliciela i poety. W r. 1906 wygłosił on w Wiedniu swój znakomity wykład "O śmierci," który został przełożony na wszystkie prawie języki europejskie, z przyczyny głębokich, oryginalnych myśli i mistrzostwa formy. Wykład ten zdolny zająć każdego myślącego człowieka, podajemy czytelnikom w odpowiednim streszczeniu, w przekonaniu, iż obudzi powszechne zainteresowanie.

Śmierć jest niewątpliwie owem ciemnem, pełnem grozy słowem, obudzającym w duszy ludzkiej uczucie strachu i trwogi. Wprawdzie bohaterskie serca znoszą ją bez szemrania w chwili głębokiego uczucia i namiętności, wiara każe ją przyjmować z pełną pokorą rezygnacją, a umysł badacza i myśliciela zapuszcza się bez wstępu w te tajemnicze krainy, by poznać prawdę, ale większość odpycha od siebie myśl o śmierci z nieopisanym strachem.

Popęd i umiłowanie życia stanowi nieodłączną własność natury ludzkiej; życie, będące samo tak wielką zagadką, słusznie uważane jest za skarb najdroższy i popęd do utrzymania tego życia jest w człowieku najpotężniejszy, tak, iż targnąć się na nie może tylko człowiek umysłowo chory.

Co to jest śmierć? Pozornie odpowiedź na to pytanie jest bardzo łatwą: jest to scena końcowa w ostatnim akcie życiowego dramatu. Jej znaczenie jednak, forma i treść przedstawiają się bardzo rozmaicie, a to według sposobu pojmowania i indywidualności duchowej jednostki, według jej religijnych i etycznych po-

glądów według tego czy śmierć będziemy rozpatrywali z punktu widzenia przyrodnika, filozofa, czy poety. Z punktu widzenia lekarza, śmierć jest tą fazą istnienia w ustroju, w której objawy życiowe naszego ciała albo stopniowo ustają, lub też nagle zostają tak zahamowane, że zupełnie gasną. Że człowiek musi umierać jest faktem skonstatowanym przez doświadczenie. Ponieważ niema ani jednego wyjątku od tego faktu, to wnioskujemy o istnieniu konieczności, o istnieniu nieubłaganego prawa przyrody, według którego ten los nie do uniknięcia dotyka nietylko człowieka, ale wszystkie twory na ziemi.

Ale dlaczego mianowicie musimy umierać?

Przy odpowiedzi na to, tak niezmiernie ważne i interesujące pytanie, uderza nas przedewszystkiem jeden fakt, że bardzo mało ludzi umiera śmiercią naturalną, t. j. wskutek późnego wieku: może jeden na sto tysięcy. Nie do zliczenia miliony ulegają zewnętrznej sile, trzęsieniom ziemi, powodziom, głodowi, śmierci wskutek ukąszenia przez węże jadowite, dzikie zwierzęta; nie mała liczba ginie wskutek morderstw, samobójstwa i wojen. Pewien uczony statystyk obliczył, że od czasów historycznych około 7 miliardów ludzi zginęło na placu boju; jest to rzeczywiście okropna liczba, wzbudzająca przerażenie w umysłach ludzkich! Ale dodać musimy, że trzy czwarte ludzkości ginie wskutek rozmaitych chorób, a na ich czele kroczy najgroźniejszy wróg ludzkości — gruźlica, która sama pochłania siódmą część całej ludzkości. Choroby te są przyczyną przedwczesnej śmierci; nie możemy tutaj zajmować się rozstrzygnięciem pytania, czy to nienaturalne wyćpienie rodu ludzkiego jest celowem i odpowiada ukrytemu dla naszego oka planowi i celom przyrody. Jako przyrodnicy musimy niestety skonstatować ten fakt, że prawie wszyscy ludzie giną nienaturalną śmiercią, a to wskutek choroby, lub wypadków.

Psalmista pański mówi wprawdzie, że życie nasze trwa lat siedmdziesiąt, a wyjątkowo ośmdziesiąt. Błędem byłoby jednak sądzić, że w tym wieku koniec naturalny kładzie kres naszemu istnieniu. Musimy zauważyć wogóle, że i w tym późnym wieku koniec sprawdza różnaita stany patologiczne, których już osłabiony i mniej odporny ustrój przezwyciężyć nie może. Choroby te mogą być bardzo nieznaczne, a więc lekkie zaburzenie w trawieniu, nieznaczny katar oskrzeli, w każdym razie są to sprawy patologiczne, oddziałujące hamująco na normalny przebieg spraw fizyologicznych. Jest to jednak w każdym razie nienaturalne skrócenie naszego życia, a nie prawidłowe, zgodne z prawami przyrody, zakończenie. Naturalną śmiercią wskutek starości, a więc gdzie wszystkie organy są normalne, a co najwyżej znajdują się zmiany starcze, i gdzie funkcje ustroju odbywają się coraz słabiej, i w końcu życie gaśnie, że użyjemy nadużywanego porównania, jak lampa, której olej się wypalił, taką śmiercią ginie nieznaczna tylko część ludzi.

Zawsze jednak przyznać należy, że istnieje mała garstka ludzi, u których najdokładniejsza obserwacja kliniczna i badanie anatomiczne nie pozwala wykryć jakichś zmian patologicznych organów i tkanek. Byli oni zawsze zdrowi i zasypiają nakoniec snem wiecznym w podeszłym wieku, znużeni życiem. Co tutaj jest właściwą przyczyną śmierci? Dla czego nakoniec serce ustaje pracować, które przez lat sto, lub nawet więcej działało z niesłychaną dokładnością, przestaje pracować bez choroby, bez uszkodzenia, i to na zawsze? W tem pytaniu tkwi niewątpliwie jedna z największych zagadek świata, na którą nauka, mimo olbrzymich postępów nie zdołała dotąd odpowiedzieć.

Rozważając sprawy biologiczne ustroju od najwcześniejszego dzieciństwa, widzimy, że dziecko przyjmuje pożywiemie, trawi je w żołądku i kiszkiach, skąd dostaje się ono do krwi, a stąd do pojedynczych narządów i składających je tkanek. Komórki przyjmują

ten materiał odżywczy, zwiększając się co do objętości i liczby. I tak jednostka rośnie aż do pewnego stopnia (wiek dziecięcy i młodzieńczy). Potem, w dalszych latach, przyjmuje zawsze jeszcze dużo materiału odżywczego, ale pozostaje już na pewnym stopniu rozwoju, t. j. nie rozwija się dalej (wiek męski). A jeszcze później, mimo ciągłego przyjmowania pokarmu, nie tylko, że ustrój nie rozwija się dalej, ale nawet nie pozostaje na dawnym stopniu rozwoju, zanika i tkanki podlegają zmianom starczym. Zmiany te dotyczą najczęściej serca i naczyń krwionośnych; i dla tego twierdzą zupełnie słusznie, że wiek człowieka należy liczyć nie według lat, ale według właściwości jego naczyń krwionośnych. Równoległe do tej przemiany wstecznej tkanek i funkcje fizyologiczne narządów odbywają się coraz słabiej. Znamy wszyscy ten posępny obraz wieku starczego, gdzie ogniste i pełne połotu ruchy młodości zamieniają się w ociężały chód starca, a energiczna i pełna siły praca wszystkich narządów ustępuje miejsca łatwemu wyczerpywaniu się i znużeniu. Wszelki postęp i tworzenie podniosłych ideałów ludzkich jest rzeczą młodości.

Nauka musi wyznać prawdę, że sprawy wewnętrzne tych zdumiewających niewątpliwie procesów biologicznych naszego ustroju, pokryte są zupełną tajemnicą. Właściwa siła, będąca przyczyną wszystkich tych zawiłych spraw, jest dla nas zupełnie ukryta. Zmuszeni jesteśmy przyjąć, że nieodłączna własność zarodki (protoplazmy) polega na tem, że do pewnego stopnia się rozwija, a następnie ulega przemianie wstecznej. Niezmienne to prawo stosuje się zarówno do jednokomórkowych organizmów bakteryi, jak i do tak złożonego ustroju człowieka. Jest to prawo, które komórki dziedziczą, giną one bowiem, ale substancja ich, jakkolwiek w zmienionej chemicznie konstytucji, istnieje dalej we wszechświecie. Ale zaraz dodać musimy, że hipoteza ta o własnościach nieodłącznych zarodki, jest właściwie tylko opisaniem

faktu, ale bynajmniej nie objaśnieniem. Czy nauka znajdzie je kiedy, czy też należy poddać się z rezygnacją głośnemu orzeczeniu Dubois-Reymond'a: "Ignoramus et ignorabimus?" Tyle tylko powiedzieć możemy, że nauka jest cierpliwą, że umie czekać i umie odpowiedzieć: "Nie wiem." Zna ona tylko jedno zadanie, jakim jest badanie i jeden tylko cel: poznanie prawdy.

I tak musimy wyznać, że na pytanie, dla czego musimy umierać, nie możemy dać dzisiaj odpowiedzi.

Nie wszystkie komórki i tkanki naszego ustroju utracają od razu swoje własności życiowe; niektóre z nich jeszcze po śmierci oddziałują na odpowiednie bodźce. U zimnokrwistych zdarza się to jeszcze w wyższym stopniu, aniżeli u ciepłokrwistych. Mianowicie mięśnie i niektóre grupy nabłonków okazują jeszcze i po śmierci pewną wrażliwość, gdy ze wszystkich tkanek komórki nerwowe najwcześniej obumierają. I w tym duchu umiera nasz ustrój nie naraz, ale pewne grupy komórek obumierają wcześniej, inne — później.

Tem niemniej jestto przyjętem i z punktu widzenia naukowego, zupełnie usprawiedliwionem, mówić o chwili śmierci. Chcemy w ten sposób wyrazić, że organizm, jako całość przestał funkcjonować i chwila ta trwa zaledwie kilka sekund, gdy ostatnie technicznie umierającego drży w powietrzu...

"Sprężyna poruszyła się, a więc ona żyje!" wychodzi z ust zrozpaczonego Lear'a, który nie chce wierzyć, że Kordelia umarła. Ona jeszcze oddycha, a więc żyje; dopiero, gdy oddychanie ustanie, będzie przekonany o jej śmierci. Czy to przekonanie ogółu odpowiada rzeczywistym faktom, czy umiera człowiek rzeczywiście wtedy, gdy ustaje oddychanie, lub też przez zatrzymanie oddychania, lub w jaki sposób wogóle człowiek umiera? Oto jest kwestya, nad którą chcemy dokładniej się zastanowić, a być może, że uda nam się wykazać, że wiele, co wydaje nam

być się strasznie i okrutnie, nie jest takim w rzeczywistości, a umysł badacza rozpoznaje często spokój i ukojenie, gdzie laik widzi tylko walkę i straszną grozę.

I oto w bitwie kula przeszywa mózg żołnierza i biedny wojownik pada natychmiastowo martwy; bomba przelatuje koło niego, nie raniąc go nawet, a mimo to umiera; miecz przeszywa pierś, odłamki granatu ranią trzewia brzuszne, lub wielkie naczynia krwionośne i po paru chwilach żołnierz umiera. Często śmierć następuje po gwałtownych wstrząśnięciach umysłu i laik sądzi, że tutaj naruszenie czynności mózgu jest bezpośrednią przyczyną śmierci, gdy w rzeczywistości zahamowanie czynności serca śmierć sprowadza, przez porażenie nerwów, wychodzących z mózgu. Lub gdy otrzymamy gwałtowne uderzenie w głowę i bez przytomności padamy martwi na ziemię, to wniosek stąd łatwy, że tutaj uszkodzenie mózgu jest przyczyną śmierci. Tak jest niewątpliwie, ale tylko pośrednio; i tutaj bowiem wstrzymanie działalności serca jest przyczyną śmierci, albowiem gwałtowne wstrząśnienie mózgu, zahamowało wszelką czynność aparatów nerwowych, kierujących ruchami serca i oddychania. Możemy nawet przezwyciężyć utratę przytomności i dotknięty nią może pozostać przy życiu, jeżeli tylko działalność serca nie zostanie wstrzymaną przez działającą tutaj wrażliwość. Widzimy z tego, że nawet zupełne zahamowanie czynności mózgu, utrata przytomności, bynajmniej nie zagraża bezpośrednio życiu i nie stanowi przyczyny śmierci, o ile serce zdolne jest do pracy; dopiero z jego porażeniem następuje śmierć.

I to samo widzimy w całym szeregu chorób zakaźnych, jak: tyfus, ospa, szkarlatyna, że śmierć następuje tutaj przez porażenie mięśnia sercowego, który pod wpływem rozmaitych trucizn, doznał zmian poważnych w swej budowie i uległ zwyrodnieniu. Możemy więc na pewno twierdzić, że z ostatnim uderze-

niem serca następuje śmierć, z ustaniem jego czynności następuje koniec nieodwołalnie.

Ale w jaki to sposób mianowicie ustanie działalności serca powoduje śmierć?

Otóż wszystkie sprawy żywotne w naszym ustroju są związane z przemianami chemicznymi w protoplazmie komórek. Przemiany te mogą się odbywać tylko przy obecności tlenu. Tlen doprowadzany bywa wszystkim organom, tkankom i komórkom przez krew. Serce zaś tylko utrzymuje krew w ruchu, i w ten sposób tłoczy się, że z ustaniem pracy serca życie musi zgasnąć.

Wynika z tego, że śmierć następuje w ten sposób, że sprawy żywotne w komórkach zupełnie ustają. A ponieważ jest to skutkiem braku tlenu, możemy to wyrazić drastycznie, że śmierć następuje przez zaduszenie komórek i tkanek. I w rzeczy samej już wspomnieliśmy wyżej, że pewne grupy komórek obumierają wcześniej, a drugie później, tak, że chwila śmierci, w sensie ściśle naukowym nie jest jednolitą. Pod względem praktycznym jednak jest to zupełnie obojętne, ponieważ dla całego ustroju śmierć oznacza ustanie działalności serca, ponieważ pociąga ono za sobą, że się tak wyrazimy, zaduszenie tkanek.

Od tego prawa mamy mało wyjątków, w którychby nastąpiło zaduszenie już przed ustaniem działalności serca. Są to przypadki śmierci przez uduszenie, a więc przez powieszenie, utonięcie, lub też przez jaką chorobę, hamującą mechanicznie dostęp powietrza do krtani i wogóle dróg oddechowych. Także niektóre trucizny, jak tlenek węgla, kwas pruski i t. d. zabijają przez uduszenie, a dzieje się to w ten sposób, że kwas pruski wstrzymuje oddychanie, t. j. łączenie się z tlenem w komórkach naszego ustroju, a mianowicie w komórkach nerwowych ośrodków oddechowych w rdzeniu przedłużonym. Kwas pruski zabija ustrój już w ilości tylko jednej kropli, i jest właśnie

w wysokim stopniu interesującym, że przy zatruciu kwasem pruskim serce bić nie przestaje, podczas, gdy cały ustrój już nie żyje.

A jakich wrażeń, jakich uczuć doświadcza umierający, co on cierpi w ostatnich chwilach życia?

Nie chcemy mówić tutaj o tej strasznej bojaźni, o obawie śmierci, jak o czemś nieznanem i tajemniczem dla umysłu ludzkiego. Tysiące poetów, filozofów i duchownych opisywało w wstrząsających słowach te straszne męki duszy ludzkiej. Ale czy śmierć i pod względem fizycznym jest bolesną, oto pytanie, na które chcemy jeszcze odpowiedzieć, a odpowiedź na nie da nam dokładna obserwacja natury.

W większości przypadków nie śmierć sama, ale choroba jest bolesną. Po większej części przytomność jest zaćmioną, mózg, wskutek leniwego dopływu krwi nie funkcjonuje, i umierający przestał już cierpieć... A jest najświętszym obowiązkiem lekarza łagodzić te męki i bóle konania, osłodzić ostatnie chwile, by śmierć nastąpiła bez cierpień i boleści.

Potężny popęd do życia z jednej strony, a z drugiej nieubłagana konieczność śmierci; jakie mosty buduje natura dla połączenia tak rażących sprzeczności? I tutaj okazuje się ona cudowną artystką. Jak bowiem umierają ludzie, którzy przybijają do końca, wskutek podeszłego wieku, których życie nie jest skróconem przez chorobę? Zасыpiają oni lekko, bez walki, bez bólu i cierpienia. Z ciekawej bardzo pracy Varigné'go o śmierci, czerpiemy, co następuje: "Co pan odczuwasz? pytano się umierającego stuletniego Fontenelle'a. Nic, tylko, że życie staje się coraz cięższem." A gdy Brillat-Savarin swej umierającej dziewięćdziesięcioletniej kuzynce podał szklanekę wody, powiedziała mu: "Dziękuję ci za tę ostatnią usługę. Gdy dojdiesz do tak późnego wieku, sam się przekonasz, że śmierć tak samo jest dla człowieka koniecznością, jak sen."

Organy w końcu zanikają, tracą na sile; wszystkie funkcje naszego ustroju odbywają się słabiej, leniwiej, a wskutek tego słabnie i chęć do życia i gaśnie w końcu zupełnie: życie staje się ciężarem. I oto mamy wytłomaczoną tajemnicę, dla czego przy naturalnym końcu życia, zasypiamy snem wiecznym łagodnie i spokojnie; nie potrzeba tutaj ani wpływu etycznego, ani pociechy religii, by pozbawić ostatnie chwile człowieka grozy i strachu.

Rozważyć też należy, że w wielu przypadkach śmierci wskutek chorób zakaźnych, zatrucie ustroju przez toksyny wywołuje takie przygnębienie w układzie nerwowym, taką apatyę, że dla chorego staje się to obojętnem, czy umrze, lub nie. Kto przeszedł na przykład ciężki tyfus, ten potwierdzi prawdę słów tych. Z zupełnym spokojem myślimy wtedy o możliwości śmierci; popęd do życia może zgasnąć zupełnie i śmierć następuje bez bólu i skargi.

Jak w tych przypadkach zarazek chorobowy, tak w innych znowu ogólne wyczerpanie, zanik wszystkich tkanek, obniżają wrażliwość mózgu, funkcje jego słabną i chory kończy życie w śpiączce i nieprzytomny. Ale już przedtem chęć do życia, zdolność odczuwania jego rozkoszy, zupełnie osłabły, bo i wrażliwość komórek nerwowych staje się coraz słabszą, a to wskutek zmniejszonej ilości tlenu. Zmniejszają się też wszystkie uczucia, strach i troska ustępują z naszego umysłu, a w końcu znika i zdolność myślenia z twórczego ducha ludzkiego. Nawet najgorętsze i najświętsze ze wszystkich uczuć ludzkich, miłość, ustępuje powoli zimnemu objęciu śmierci. Myśl to niewątpliwie bolesna dla pozostających przy życiu, ale prawdziwie dobrodziejstwo dla umierającego.

Tego pojmowania i przytoczonych faktów nie jest w stanie nie zmienić, ani ruchy umierającego, wskazujące na ból i mękę, ani kurczowe drgania, ani przedśmiertne rżenia w płucach tak straszne dla otaczających. Wszystkie te objawy są bardzo dla nas przeraźliwymi.



rażające, ale nie są bynajmniej takimi dla umierającego; albowiem przy ich pojawieniu się znajduje się on już w stanie apatycznym, w którym wszystkie wrażenia odczuwa słabiej, lub wogóle nie odczuwa ich wcale. A gdy śmierć następuje zupełnie przytomnie, co stosunkowo zdarza się rzadko, wtedy nic życia przerywa się nagle, bez żadnych zwiastunów dla umierającego — nagle porażenie serca, i skazówka życia staje.

Możemy więc stanowczo twierdzić na podstawie obserwacji i doświadczenia, że pełne grozy i strachu wyobrażenia o bólach i męczarni śmierci, istnieją tylko w wyobraźni. Śmierć jest okropną w rzadkich tylko przypadkach, a i te niestety człowiek okrutną rękę przyczynia swemu bliźniemu: mówimy tutaj o torturach i ogniu. Ale natura jest litościwszą, niż człowiek, a gdybyśmy umierali zawsze wskutek starości, moglibyśmy naprawdę myśleć o śmierci, jak zmęczony pożąda snu, tej pociechy dla ciała i duszy. I tak wszędzie dobroczynna natura pokrywa welonem, otacza zasłoną ostatnie chwile umierającego, znosząc właśnie strach i trwogę. Męczarnie przynosi nam tylko obawa śmierci, trapiąca zdenerwowany ród ludzki, ale nie śmierć sama, która powinna się zjawiać jak sen upragniony dla zmęczonego podróżnika.

Powinniśmy więc dążyć do tego życiem całym, higieną ciała i duszy, byśmy umierali śmiercią naturalną wskutek starości, a śmierć straci dużo ze swej grozy. Postępy nauki, a zwłaszcza higieny, pozwolą nam wkońcu na osiągnięcie tego ideału, że w przyszłości ludzie umierać będą tylko w skutek starości, gdy zniknie chęć do życia i możność odczuwania wszystkich jego rozkoszy. A ponieważ życie człowieka jest tak krótkie, należy korzystać z każdej chwili, by pozostawić ślady swego istnienia, by zasiane przez nas ziarno wydało plon bujny dla przyszłych pokoleń, byśmy umierając powiedzieli spokojnie mogli: "non omnis moriar."

Spokojnie, nie ustając w zabiegach i znożnej pracy

powinniśmy czekać końca, życie-całe pędząc w ten sposób, by nikt nie odchodził od nas bez wrażenia, że stał się lepszym i mędrszym. Sami umieramy, ale część naszego ducha zostawiamy na ziemi, w naszych ideach, w naszych czynach, zapewniając sobie w ten sposób nieśmiertelność...

A ci, którzy w ten sposób myślą o życiu i śmierci, nie boją się jej zimnego uścisku.

Dr. Władysław Chodecki.

LICYTACYA.

Humoreska.

Pan Jacenty Zdziarski, właściciel czteropiętrowej skanalizowanej kamienicy, we Lwowie, był na wskrós materyalistą, t. j. uprawiał kult Mamona.

Jego lokator z 3-go piętra, pan Alfons Golski, malarz, był do szpiku kości idealistą i czuł wstręt wrodzony do korony.

Oczywiście, iż tak wręcz przeciwne sobie usposobienia bohaterów naszego opowiadania, którzy pierwszego każdego miesiąca miewali styczność ze sobą, musiały kiedyś doprowadzić do starcia.

Ale starcie to byłoby nadwyzczaj pospolite i nieciekawie, gdyby w grę tę nie wchodził trzeci żywioł w osobie uroczej, osiemnastoletniej Zosi, córki pana Jacentego, która nie podzielała zdania swego ojca co do pana Alfonsa. Żywiła ona cichą, ale szczerą skłonność ku młodemu artyście i z niektórych danych przypuszczała, iż może lieżyć na wzajemność.

Ale im więcej rozgrzewały się młode uczucia na pierwszym i na trzecim piętrze, tem bardziej grubiała skorupa dokoła serca skąpego kamienicznika. Z każdą ratą, którą pan Alfons zostawał za komorne wi-

nien, przybywał nowy słój lodu w piersiach wierzyiciela.

Nareszcie przebrała się miarka.

— Teraz go zlicytuj! — rzekł pan Jacenty pewnego rana.

Pani Jacentowa, cicha, spokojna kobiecina, rzuciła wzrokiem współczucia na swą córkę, wiedząc oddawna, jaką ona kontrabandę w swem sercu ukrywa, ale nie śmiała mężowi przeczyć. Naraz Zosia zerwała się i zawołała.

— Na miłość boską, tego nie zrobisz ojezulku!

— Otóż właśnie, że zrobię! — odparł, ściągając krzaczaste swe brwi ku osadzie nosa, jakby na obronę od błagalnego wzroku dziecka. — Właśnie, że zrobię! Mamże temu pędzlarzowi pozwolić sobie po nosie jeździć? Wyrok mam już dawno w kieszeni, egzekutora mogę każdej chwili sprowadzić. Oto będzie miał niespodziankę ten marnotrawnik, ten próżniak!

I zrobił swoje.

Z początku, na widok egzekutora, pan Alfons wpadł w złość, rzucał się, krzyczał, przeklinał, ale gdy mu oświadczył, że gniew tu nic nie pomoże, ucichł i poddał się swemu losowi. Potem wpadł z rozpachy w zadumę, w której widział, jak wszystkie jego szkice i obrazy owoc talentu i natchnienia, jeden po drugim przechodzą, za marny kruszec w ręce nędznych handlarzy, którzy je z jego pokoju wynoszą.

Zal ścisnął mu piersi, wybiegł.

Na schodach spotkał Zosię, która z nieśmiałością rzuciła mu smutne spojrzenie.

— Pano Zofio! — wybąkał zmieszany — ja wiem, że pani temu nie winna... gdyby nie pani, dawno byłoby to mniej już spotkało.

I szybko zbiegł ze schodów na ulicę.

Z kilkoma przyjaciółmi tego dnia jeszcze odbył radę wojenną; a wynikiem jej genialny pomysł: dopuścić do licytacji.

Sądny dzień nastał.

Kilkunastu handlarzy, z których połowa, widząc o

co chodzi, odeszła z wymysłami i trywialnymi dowcipami, gdyż woleliby stare ubrania, gałgany. Trochę kupeców specjalistów, kilku amatorów polujących na tani nabytek, garstka gapiów, dzielących swą ciekwość między licytację, salę sądową i pogrzeby, wrzecie tu i ówdzie twarze młodych artystów.

Z tyłu w kącie pan Jacenty. Sprawiało mu to przyjemność przyglądać się, jak "sztuka" jego przeciwnika, którą ten się tak szczycił i pysznił, tu na gruncie materialnym spadała do zera. Bo cóż może przynieść te kilka kawałków tektury i zamalowanego płótna!

I miał słuszość.

Kilka ładnych szkiców rodzajowych pō długich nawoływaniach egzekutora zostało w rękach jakiegoś handlarza obrazów, tak, że obecnym młodym artystom aż w oczach pociemniało ze wstydu i upokorzenia.

— Weźmy teraz co innego! — rzekł urzędnik. — Głowa dziewczęcia! Sliczna główka dziewczęcia! Cudne oczy, różowe lica, malinowe usteczka!

Przytem śmiał się arogancko. Lubił bowiem doweipkować, będąc pewnym uznania stałego koła swej publiczności.

Wszyscy poczeli się cisnąć naprzód.

Nawet pan Jacenty.

Nagle wspiął się na palcach i własnym oczom nie chciał dać wiary.

Wszak to była...

Tak, bez najmniejszej wątpliwości. To była ona, jakby skórę zdjął, żywiuteńka... Zosia.

Gniew, wstyd, upokorzenie ogarnęło naraz chciwego kamienicznika.

Czy ona pokryjomo pozowała malarzowi, czy też on zakochanemi oczyma uchwycił jej rysy, że z pamięci mógł ją na płótnie utrwalić — dość, że była to ona, Zosia, podobniutka, świetnie sportretowana.

Gorączkowy niepokój ogarnął biednym panem Jacentym.

Portret jego dziecka wystawiony na licytację — w

niebezpieczeństwie dostania się do jakiegoś kramarza; który wśród różnych rupieci latami całemi będzie go trzymał w oknie na pokaz! Co za wstyd! co za kompromitacja przed wszystkimi znajomymi!

Do tego nie mógł nigdy dopuścić.

— Pięć koron! — zawołał ktoś.

— Dziesięć! — krzyknął pan Jacenty w rozdrażnieniu.

— Aha! — mruknął komornik — kobiety to wabik.

— Piętnaście! — odezwał się jakiś dźwięczny głos.

— Dwadzieścia!

— Trzydzieści!

— Pięćdziesiąt! — rzekł pan Jacenty, akcentując zgłoski, jak gdyby chciał przez to każdemu konkurentowi powiedzieć: "Wara, nie waż się mnie sprzeciwiać!".

— Sześćdziesiąt! — zawołał jakiś figlarz przy drzwiach, którego mógł natychmiast drapnąć, gdyby mu wypadło natychmiast zapłacić zdeklarowaną sumę.

— Siedmdziesiąt! — zabrzmiało z góru.

Był to głos jednego ze sprzysiężonych artystów.

— Sto! — wrzasnęła znów pan Jacenty.

Kroplisty pot wystąpił mu na czole, a twarz poczerwieniała jak burak. Zdjęła go istna pasya licytacyjna. Obraz ten musiał do niego należeć za jakąkolwiek bądź cenę.

Ale przetarg nie ustawał.

— Sto dwadzieścia!

— ...trzydzieści!

— ...pięćdziesiąt!

— ...sześćdziesiąt!

— ...i piętnaście hal..! — zawołał jakiś żartowniś.

Burza śmiechu rozległa się w pokoju.

— Trzysta! — wymówił pan Jacenty stanowczym głosem.

Nagle, jak po uderzeniu piorunu, zapanowała cisza. Wszyscy nadstawili uszu z pewnym rodzajem poszanowania.

Artyści ukradkiem porozumiewali się ze sobą oczami.

— Dosyć! wpadł sam w pułapkę!!

— Trzysta po raz pierwszy — po raz drugi — i trzeci! — rzekł urzędnik. — Proszę, trzysta koron! Dla amatora wart i pięćset. Szkoda, że suma ta pokrywa dług z górą, wskutek czego licytacja skończona, gdyż właściciel posiada jeszcze przynajmniej z tuzin takich główek, — żartował komornik.

— Co? — przerwał pan Jacenty, który się precisnął do stołu i złożył na nim trzy stukoronowe papierki. — Jeszcze tuzin? Wszystkie są moją własnością. Dalej! — Mocno żałuję, — rzekł urzędnik, podając mu nabyty portret, — ale licytować dalej nie mam prawa, zwróć się pan do samego artysty, może panu z wolnej ręki sprzeda.

Śmiech i szeptanina ogólna towarzyszyła tym słowom.

Jak wodą oblany, potracając obecnych, wybiegł pan Jacenty z pokoju i omal że się nie stoczył ze schodów, gdy nagle na drugim piętrze wpadł na dwie kobiety.

— Ach, ojezulek! — zawołała Zosia.

— Co wy tu robicie? — zapytał, widząc żonę i córkę.

— Zosia tak się niepokoiła tą licytacją, — nieśmiało odpowiedziała mu żona — że chciałyśmy pójść zobaczyć...

— Oh! — zawołało nagle dziewczę, spoglądając na portret, który jej ojciec trzymał w ręku, i rumieniąc się po uszy z radosnego wstępu. — Wszak to ja jestem, ja...

Powoli schodzili ze schodów.

— Jak doskonale trafiona! — zauważyła matka, oglądając obraz. — Musi być z niego dzielny malarz — dodała swym spokojnym, łagodnym głosem, — któremu należałoby raczej przyjść z pomocą, a nie drogę zagrażdzać do karyery. — I zwracając się półgłosem do męża: — musi ją też bardzo kochać, inaczej nie mógłby jej tak świetnie wymalować.

— Ma jeszcze z tuzin tych jej portretów, — mruzczał w zakłopotaniu pan Jacenty. — A ten oto, kosztuje mnie trzysta koron. Jak się zdaje, nic innego oprócz niej nie malował.

— Oprócz mnie nic nie malował? — szepnęło dziewczę do siebie.

— Trzysta koron! — rzekła pani Jacentowa, — otóż przekonaj się, że i sztuka przynosi zyski i pieniądze.

— Moje pieniądze! — mruzczał sknera.

— Jacuś! — prosiła męża, nieznaczny ruchem zwracając jego wzrok na uszczęśliwioną twarzyczkę rozmarzonej jedynaczki, — Jacuś!

Znajdowali się już w mieszkaniu. Pan Jacenty wolnymi krokami począł mierzyć pokój.

Chodził tak przez chwilą w zamyśleniu, wreszcie stanął przed żoną.

— Kąże go tu sprowadzić, — rzekł półgłosem, jakby wstydząc się słów swoich. — Pomówię z nim... o reszcie portretów Zosi... jak się zdaje, to on coś potrafi.. zresztą kocha Zosię... No i w każdym razie trudno, żebyśmy całe życie tylko skupował u niego jej portrety.

Roześmiał się, a dzwięczny głos córki radośnie mu zawtórował.

W karnawale odbyło się wesele.

Złapał się.

Powieść wschodnia.

Mimo swej mądrości zakłopotał się stary Kadi niezmiernie... Któremu z dwóch miał wierzyć? Czy Abdalahowi, który na wszystkie świętości przysięgał, że swemu przyjacielowi Jusufowi pożyczył sto cekinów — czy Jusufowi, który nie mniej na brodę proroka zaklinał się, że od Abdalaha nigdy w życiu nie otrzymał podobnej sumy!?

— A zatem, Abdalahu! — odezwał się po chwili namysłu Kadi — nie było żadnego świadka wówczas, gdy dałeś pieniądze Jusufowi?

— Żadnego!... Staliśmy obaj na pustym gościńcu pod drzewem, w którego cień schroniliśmy się przed upałem.

— Pod drzewem? — powtórzył Kadi — a poznałbyś ty teraz to drzewo?

— Bez najmniejszej wątpliwości! — zapewnił Abdalah.

— Biegnijże więc co żywo, do tego samego drzewa, które było świadkiem, gdyś Jusufowi pożyczył sto cekinów, wytnij z jego gałęzi spory kij i przynieś mi go tu natychmiast. Tym kijem ukarzę tego z was, którego przekonam o kłamstwie.

Abdalah popędził w drogę — a Kadi surowem spojrzeniem badał twarz Jusufa, czy też z oczu jego ukrytej nie wyczyta prawdy... Ale Jusuf miał tak swobodną i niewinną minę, że Kadi "już już" chciał mu przyznać słuszość, tem bardziej, że Abdalah jakoś długo nie wracał...

Wreszcie znecierpliwiał się mądry sędzia.

— Gdzie ten Abdalah tak długo siedzi?! — zawołał w podrażnionym tonie.

Uspokajając go rzekł Jusuf:

— On nie mógł jeszcze wrócić, bo do tego drzewa będzie stąd dobrej ćwierć mili.

— Ha! nędzny złoczyńco! — zagrzemiał teraz starzec. — Więc ty wiesz, gdzie jest to drzewo, pod którym dostałeś od niego sto cekinów!!

W tej chwili wpadł też i zadyszany Abdalah, niosąc w tryumfie potężny kij ucięty z drzewa...

— Sto razy Jusufowi! — zawyrokował sędzia a pachołcy spełnili gorliwie rozkaz...

J a b ł o ń .

Opowiadanie.

Do pewnego adwokata w Czechach zgłosił się pewien klient ze wsi. W rejestrze adwokata wciągnięty był pod skromnem nazwiskiem Macieja Prochazki. Mniej więcej, przed trzema laty przekroczył poraz pierwszy próg kancelaryi, gdzie sobie w lot zdobył wszystkie serca. Sprowadził go spór, którego przedmiot nadawałby się lepiej na temat do poezyi niż do procesu. Była to jabłoń, to poetyczne drzewo, równie wdzięczne w czas majowy, kiedy tysiące pszczoł roją się, bzykając koło jego korony, jak w jesieni, gdy zielone gałęzie uginają się pod słodkim ciężarem rumianych jabłek.

Sprawa miała się tak: Na miedzy dzielącej pola Prochazki od pól jego sąsiadki, Barbary Vrchabowej stała samotna jabłoń, w cieniu której zazwyczaj dawniej właściciele obu sąsiadujących pól wypoczywali podczas żniwa. Ale raz kazała Vrchabowa otrząść owoce z jabłoni dla siebie wyłącznie. Z czynu tego, jak stwierdziły wynalezione później akta, odniosła korzyść niecałego kosza napół dojrzałych owoców, a w kilka dni później wniósł przeciw niej Maciej Prochazka za pośrednictwem zastępcy prawnego skargę na dwóch arkuszach za naruszenie posiadania. Od tego czasu do procesu o jabłoń przyłączyło się mnóstwo innych sporów między sąsiadem i sąsiadką; o linię graniczną, o rynną na dachu, o zaslanianie widoku, o wystającą belkę i o różne inne nieprawne nabytki, ale jabłoń stała zawsze na czele dyskusyi i stała się w kancelaryi pojęciem nierozłącznem od osoby Macieja Prochazki. “Jakże tam z tą jabłonią?” z o było zawsze pierwsze pytanie pisarzy, ilekroć raczyli

zacząć rozmowę z Prochazką, a szef rozpoczynał zawsze rozpatrzenie nowego sporu swego klienta z chciwą sąsiadką tem, że na środku arkusza kreślił kółko ze słowami: “A więc powiedzmy, że tutaj stoi jabłoń, a tu na prawo i t. d.”

Niejeden z później rozpoczętych sporów zakończył się już dawno pomyślnie lub niepomyślnie, ale proces o jabłoń włókił się bez końca, jak wąż morski. Nie wiadomo, co było powodem tej niezwyklej zwłoki, czy może spór stracił charakter walki o posiadanie a wszedł na śliską drogę służebności prawa, ale pewnem jest, że Prochazka dotąd za każdą swoją bytnością zadawał pytanie: “A jakże daleko jesteśmy ze sprawą jabłoni?” “Niebawem będzie zamknięte postępowanie dowodowe” — odpowiadał mu adwokat. — “Niech to kosztuje co chce, — ale niech jej pan narobi jaknajwięcej kosztów, panie doktorze.”

Nie było nic dziwnego, że poczciwy Prochazka życzył jaknajgorzej swojej sąsiadce. Jako bezdzietny wdowiec i właściciel pięknego gospodarstwa mógłby był używać zupełnego ziemskiego szczęścia, gdyby zazdrosny los nie narzucił mu właśnie Vrchabowej na sąsiadkę. Przez nią miał życie naprawdę ciężkie. Z trzech stron jej pola okalały jego własność, ale nie był to uścisk sąsiedzkiej zgody, lecz objęcia drapieżnego zwierza, wyciągającego krwawe szpony po swoją ofiarę. Granice posiadłości przestały być martwą linią, lecz stały się przedmiotem namiętnego sporu, w którym każdy kamień graniczny budził podejrzenie, że z roku na rok powoli go przesuwano. Ba, nawet budynki Vrchabowej z piękną gospodą na pozór już rozszerzały się w stronę zagrody Macieja Prochazki.

Copravda nie wiadomo, kto w tym wypadku był jałgnięciem, a kto wilkiem, czy może bodaj obie strony grały rolę wilka; ale pewnem jest, że pewna część personelu kancelaryi przyjmowała opowiadania Prochazki z dwuznacznym uśmiechem. Uśmiech ten nie zniknął nawet wtedy, gdy Prochazka zaklinał się na wszystkie

świętości, że niespokojna sąsiadka doprowadzi go do sprzedania ojcowizny i zmusi do wywedrowania gdzie do Rosyi, albo do Ameryki, bo już ma tego ciągłego prawowania się powyżej uszu, bo ta kobieta jest wielonym szatanem i ma już na sumieniu przedwczesną śmierć swojego nieboszczyka męża i wogóle możnaby o niej opowiedzieć takie rzeczy, że słuchaczowi włosy stanęłyby dębem z przerażenia.

Tymczasem jeden proces siedł za drugim. Niedawno dopiero sądowem orzeczeniem przywrócono szczęśliwie do pierwotnego położenia belkę, którą zaczepiła sąsiadka kazała wysunąć o dobry kawał w przestrzeń powietrzną Prochazki, a już zastępca Prochazki gotował się do nowej skargi o naruszenie własności, spełnione przez rozmyślnie wyłamanie dwóch żerdzi w pewnym płocie, przyczem adwokat rozpoczął, jak zwykle, rysując na środku arkusza kółeczko ze słowami: "A więc powiedzmy, że tutaj sto jabłoni."

"Stała" — poprawił go Maciej Prochazka.

Trzeba bowiem zauważyć, że nieszczęsna jabłoni nie dożyła nawet końca postępowania dowodowego. Podczas burzliwej nocy zniknęła z oblicza ziemi, gdy rozstrzaskana piorunem splonęła pięknie i uroczyście, jak błyszczący meteor, co zresztą nie wywarło najmniejszego wpływu na dalszy przebieg sporu prawnego, który po przez spalone drzewo toczył się dalej z wolna i ceremonialnie, jak gdyby nic nie zaszło.

W kilka dni po podjęciu nowego sporu Prochazka zjawił się znowu w kancelaryi.

— Jużśmy wnieśli skargę, — przyjął go doradca prawny. — Czy uważacie, żeby nikt niczego nie ruszył?

— Obie żerdzie leżą tam gdzie wypadły.

— To dobrze. Idzie o to, ażeby komisya przy wizyi lokalnej miała możliwie najdokładniejszy obraz naruszenia własności.

— Ale w tej sprawie jest nowy haczyk, panie doktorze.

— Jakiż to?

— Przez otwór w płocie — wie pan — przelazi z jej podwórka chmara drobiu do mojego ogrodu i robi mi tam straszne szkody. Moja nieboszczka żona drób lubiła i ja sam lubię patrzeć na żółte gąsiątka albo pstre kureczka. Ale Vrehabowa znowu i w tem przesadza, jak we wszystkim.

Jej podwórko to jak wylęgarnia, tyle się tam kręci kur, kapłonów, kogutów, indyków. I ona to wszystko chowa nie dla zysku, ani nie z zamiłowania, broń Boże, tylko dlatego, żeby mnie złościć tem gdakaniem, kwokaniem i bełkotaniem, którego muszę słuchać od świtu do zmroku, żeby mi to przelaziło do mojego ogrodu i grzebało w nim i robiło mi szkodę.

Już dawniej brakowało mi sił, żeby te szkodniki pędzić skąd przyszły, ale od czasu, jak w płocie jest dziura, gospodaruje to bestyjstwo w moim ogrodzie, jak u siebie. Ale ja temu koniec położę. Wie pan, — kupię sobie strzelbę i będę strzelał do wszystkiego, co przez płot przelezie, choćby i do najlepszej sztuki.

— To zrobicie sobie nieszczęgólną przysługę. Ja wam dam inną radę. Zajmijcie jej parę sztuk drobiu, na pokrycie szkody. Będzie to rodzaj zafantowania, na które w takim wypadku prawo pozwala.

W kilka dni po tej naradzie, Prochazka zjawił się znowu w kancelaryi, widocznie wzburzony.

— No, i cóż, zajęliście jej kury? — zapytał mecenas.

— Tak.

— I jakiż był rezultat?

— Taki! — Prochazka odgarnął z czoła swoje żółte włosy i pokazał pod nimi kilka przeg krwią nabiegłych i parę potężnych sińców.

— A więc bitka?

— I jeszcze jaka! Ona przyszła do mnie po swoje kury z parobkiem i z dziewczką i zwymyślała mnie od zbójów, złodziei i rabusiów. Przemocą wydarła mi swoje kury, ja za nią, a ona łap za jedną z wyłamanych żerdzi i jak mnie nie huknie przez łeb! Chwyciłem dru-

gą żerdkę i byłbym ją na niej połamał, żeby nas sąsiedzi nie rozdzielili.

— Już my ją nauczymy. Opowiedzcie jeszcze raz dokładnie jak to było, a jutro wniesiemy przeciw niej doniesienie karne. Wy sami staniecie na rozprawę w sądzie powiatowym, ja was pouczę jaknajdokładniej, jak się macie zachowywać. Pojechałbym z wami sam, ale mam inne bardzo pilne sprawy.

Po tej rozmowie Prochazka nie pokazywał się w kancelaryi przez dłuższy czas, co zwróciło powszechną uwagę. Minął tydzień, dwa, trzy i kancelaryi zaczynało już brakować wśród codziennych gości postaci poczciwego wieśniaka. Tymczasem zdarzyła się rzecz dawno upragniona: proces o jabłoń rozstrzygnął sąd na korzyść Macieja Prochazki.

Gdy ten po dłuższym czasie przyszedł znowu po raz pierwszy do kancelaryi, adwokat tryumfująco potrząsnął mu przed oczyma wyrokiem.

— Wygraliśmy, przyjacielu, wygraliśmy!

Ale ku niemałemu zdziwieniu adwokata, Prochazce tylko na chwilę żywiej zabłyśły oczy, a zaraz potem powrócił na jego twarzy wyraz zakłopotania, z którym już wszedł do kancelaryi.

— Czemuż stoicie bez ruchu? Co się wam stało? Czy może wam niepomyślnie poszło w sądzie powiatowym?

— Nie.

— No więc o cóż wam idzie? Przeczytajcie sobie ten wyroczek. Vrchcabowa pęknie ze złości, gdy go sobie przeczyta. Zobaczycie tylko jaką ogromną sumę będzie musiała zapłacić.

— Teraz już zapóźno — wybąknął Prochazka.

— Zapóźno? Dlaczego zapóźno? — zapytał adwokat zdziwiony.

— Bo już tak, jakby z nas była para.

— Wy i Vrchcabowa?

— Wczoraj spadliśmy pierwszy raz z ambony.

— Nie, czyż to możliwe? — Wy — wy z Vrchcabową? Powiedzciez przynajmniej, na miły Bóg, jak się to stało?

— Dość, że się stało. Zaczęło się to na terminie w sądzie powiatowym, co mnie to pan mecenas samego posłał. Kiedy nas wywołali, sędzia siedział do nas tyłem przy swoim stoliku i coś pisał. Zna go pan może, tego sędziego?

— Widziałem go parę razy. Jeden z tych sędziów starej daty, którzy sobie i stronom najlepszą oddają przysługę, przechodząc w stan spoczynku.

— Prawda, że to bardzo stary pan. Całą głowę ma już bieluteńką. Ale z twarzy jeszcze mu bije zdrowie. Więc, jak mówię, siedział do nas tyłem i pisał. Przez chwilę czekaliśmy cicho. Potem zaczęła Vrchcabowa i rozpuściła od ucha do ucha. Ale Bogu dzięki, też ja jeszcze umiem mówić. Jak żyję, pewnie jej jeszcze nikt tyle prawdy w oczy nie powiedział, co ja przez tę krótką chwilę. Powiedziałem jej wszystko, com miał na sercu. Wściekała się, płakała, tupiała nogami ze złości — dość, że zrobiliśmy taką awanturę, że aż panowie adjunkci pootwierali drzwi z bocznych pokoi, a pisarz ze strachem patrzył na sędziego. Ale on sobie tylko kiwał głową, uśmiechał się i pisał dalej. Dopiero, kiedy ja wypowiedziałem wszystko swoje, a Vrchcabowa aż ochrypła od krzyku, sędzia założył pióro za ucho i zapytał się nas: "Czyście sobie już wszystko powiedzieli? No, to zdaje mi się, że teraz będzie najlepiej, jak sobie pięknie podacie ręce i pójdziecie do domu. A jeszcze lepiej byłoby, gdybyście po sąsiedzku żyli w zgodzie, a nam takimi rzeczami głów nie zaprzęтали. Takim ciągiem pieniąctwem nie przysporzycie sobie ani honoru, ani majątku.

— Tacy to są ci starzy panowie — przerwał adwokat z goryczą. I jakiż był wynik? Czyście się trzymali mojej instrukcyi?

— Cóż miałem robić? ciągnął Prochazka, trochę zmieszany. — Pan sędzia tak nam pięknie przemówił do su-

mienia, a przytem tak żartobliwie, żeśmy sobie wreszcie prawie niewiedzący podali ręce.

— Tak! Toście ślicznie zrobili! — zawołał adwokat i zaczął energicznymi krokami przemierzać pokój.

— Kiedy tak idziecie za moją radą, to poco właściwie tu przychodziecie? Poco wnosić skargi? Poco te wszystkie wydatki? A może to ten sędzia was jeszcze połączył?

— Tak, pół na pół. Kiedyśmy sobie ręce podali, uśmiechnął się i powiada, że powinniśmy je sobie i gdzieindziej podać, to wtedy za jednym zamachem zniknęłyby wszystkie nasze sporne płoty i kamienie graniczne. I bez tego — powiada — jesteśmy, jakby stworzeni dla siebie. Potem pojechaliśmy do domu, każde inną drogą. Ale w niedzielę potem byłem na sumie w Mokrzynie, a ksiądz proboszcz tak ślicznie mówił na ambonie o zgodzie sąsiedzkiej i miłości bliźniego, a słonko tak ślicznie błyszczało przez okna i złociło wszystko w kościele, że aż mi serce odtajało. A potem kiedyś szedł przez pola do domu i patrzyłem dokoła na błogosławieństwo boskie na polach ze zbożem, wtedy tak jakoś sama z siebie przyszła mi na myśl rada sędziego. I im dalej szedłem, tembardziej dochodziłem do przekonania, że tylko ożenek z Vreheabową uwolni mnie wreszcie od tych wszystkich procesów i da mi ten święty spokój, którego tak pragnę. Sąsiadka nie jest właściwie brzydka, myślałem sobie, na gospodarstwie się zna, a grunta nasze tak ślicznie do siebie przytykają. I tak sobie myśląc, doszedłem do gospody. Przystanąłem ze zmęczenia i zacząłem się przypatrywać na domek czysty i aż pod dach zarośnięty winem, na ogródek ze słonecznikami, na podwórko w porządku i żal mnie wziął. Za życia mojej nieboszczki i u mnie tak było. Nagle zobaczyłem przed sobą Vreheabową, jak podlewała kwiatki w oknie. Mimowoli chwyciłem za czapkę, a ona się uśmiechnęła i powiada: "Dzień dobry sąsiedzie? Nie wstąpić na szklaneczkę piwa?" No i wstałem — i — i —"

— Ale pocóż w takim razie przychodziecie do mnie? Czy mam wam napisać kontrakt małżeński?

— Z tem, to przyjdziemy razem za kilka dni. Ale ja mam jeszcze coś innego do pana mecenasa.

— Mówcie, słucham.

— Myśmy sobie już tak niejedno umawiali co do naszej przyszłej wspólnej własności. Otóż grunt mojej przyszłej, graniczy z drugiej strony z gruntem chałupnika Maresza. To ówik kuty na cztery nogi — wie pan — otóż on tam ma kawałek pola z makiem i zrobił sobie do niego ścieżkę przez jej pole.

— Oblicze doradcy prawnego rozjaśniło się radośnie.

— Powoli ojezulku, powoli — rzekł. — Musimy sobie wszystko spisać po porządku. Poczekajcie, zagniemy sobie nowy ołówek na tego lisa Maresza. Tak! A zatem, tutaj stoi — albo raczej stała jabłoń a tutaj — i t. d.

Brelok.

(z francuskiego)

Pewien bogaty człowiek, znalazłszy się w gronie dobrych przyjaciół, opowiedział następującą historję swojego wzbogacenia się. Wziął on do ręki złotą monetę, zawieszoną u zegarka jako brelok i tak dowodził:

— Ten luidor — mówił — który tu widzicie, jest skradziony i ten skradziony pieniądz był początkiem i podstawą mego majątku. Dzień 1-go listopada 1895 jest wielkim dniem w mojem życiu. Owego dnia jadłem obiad w mieście, potem byłem u pewnych znajomych i około godziny 10 szedłem do klubu, do którego od pewnego czasu należałem. Szedłem szybko wśród głośnego krzyku roznosicieli gazet, łamiąc sobie

głową, skąd wy dostać 1,000 fr., jakie koniecznie mi były do zapłacenia wekslu i to jutro. Coś silniejszego od mojej woli pchało mnie do klubu. Mówiłem sobie, że to, co czynię, jest niesmaczne, że lepiej to, co miałem przy sobie, zachować przezornie, niż rzucać na kartę, że zdrowiej byłoby udać się do domu i położyć się spać, a wstać nazajutrz wcześniej, aby potrzebne mi pieniądze skąd pożyczyc. Lecz nie mogłem oprzeć się kuszącej myśli, że przecież może wygram. Byłem zdenerwowany i podniecony. Nagle zauważyłem pod jakąś bramą starą, skuloną żebraczkę o siwych włosach, w zarzuconej na ramiona szarej, zniszczonej chustce. Zrobiło mi się jej żal. Przeszukałem kieszenie — ani centa; w portmonetce miałem samo złoto... I tu przesąd przyszedł w pomoc mojej litości... wyjąłem luidora i lekko upuściłem go w wyciągniętą rękę staruszki. Później poszedłem dalej, ciesząc się w myśli z niespodzianki, jaką biedaczce sprawiłem i byłem przekonany, nie kryję się z tem, że mój dobry uczynek przyniesie mi szczęście.

Wszedłem do klubu i poszedłem prosto do sali gry. Zacząłem grać nisko i wygrałem. Lecz później w przeciągu dziesięciu minut przegrałem wszystko. Ani centa w kieszeni.. wyciśnięty byłem, jak cytryna. Wziąłem laskę, kapelusz i poszedłem wzburzony, zły, zdecydowany zacząć sprzeczkę z pierwszym lepszym; ktoby tylko spojrział na mnie krzywo. Lecz do tego nie przyszło z tego prostego powodu, że ulica była zupełnie pusta. Jedyne w bramie domu siedziała skuloną żebraczka, śpiąc ciągle w tej samej pozycji, co poprzednio. Uczułem do niej pewną złość, że zabrała mi mego luidora. Leżał on ciągle jeszcze na jej wyciągniętej, pomarszczonej ręce. Mój luidor! Tak; mój, a ona o nim nawet nie wiedziała... nie ruszyła się jeszcze od czasu, gdy go jej dałem. Widać go było na jej ręce.

Wtem niegodna myśl przeszła mi przez głowę... myśl, aby starej odebrać luidora, na którego nie zapracowa-

ła. Walczyłem kilka chwil, które zdawały mi się godzinami, przeciw tej ohydnej myśli... poszedłem nawet dalej... lecz złe tryumfowało. Po cichu, ostrożnie zbliżyłem się do niej. Spała. Spała twardo... Obejrzałem się na wszystkie strony. Nie było nikogo. Z okropnem biciem serca, ze wstrzymanym oddechem, ręką drżącą pochwyliłem pieniądze i uciekłem, jak złodziej... jak złodziej.

Chwiejnym krokiem, śmiertelnie blady wróciłem do klubu... Znajomi pytali mnie ze współczuciem, czy nie jestem chory... Nie, dziękuję, nic mi nie jest mówiłem, nie wiedząc, co mówię, mówiłem, jak w gorączce. Poszedłem do sali gry. Postawiłem luidora i wygrałem. Postawiłem go znowu, i znowu... i wygrywałem ciągle. Grałem jak obłąkaniec... wszystkie moje zuchwałstwa udawały się... nawet moje błędy wychodziły mi na korzyść. Około godziny 3 po trzykrotnej stracie, która wydawała mi się wskazówką losu, by przestać grać, wstałem od stołu z 130,000 wygranej.

I wówczas pierwsza moja myśl była o owej starej; biednej żebraczce, którą tak podle, ohydnie podle okradłem. Biedna staruszka, myślałem, wkładając palto, śpisz tam może jeszcze pod bramą i nie domyślasz się nawet, jak bogatą będziesz za chwilę, tak bogatą... Oddam ci twego luidora z wysokim, wysokim procentem, owego luidora, którego posiadałaś, nawet o tem nie wiedząc, a którego ja ci ukradłem. Nie będziesz już więcej nigdy zebrała. Będziesz miała ładny schludny pokój, białe firanki w oknach, nie będziesz więcej marzła na ulicy... będziesz żyła bez troski o chleb codzienny aż do śmierci...

I uszczęśliwiony myślą, że kogoś uszczęśliwię, wyszedłem na ulicę... Na dworze zrobiło się tymczasem zimniej i zaczął padać śnieg... Prawie bez tchu podążyłem na miejsce, gdzie przedtem siedziała żebraczka. Tu siedziała... w tej bramie. A może w następnej? Gdzie była właściwie? Wróciłem, prze-

biegłem ulicę raz jeszcze, zapytałem kilku przechodniów, czy nie widzieli starej żebraczki w długiej chustce, zapytałem nawet o to policyanta. Zdawało mu się, że widział ją przed pół godziną, ale nie był tego pewnym. Przez całą godzinę błądziłem w ulicach sąsiednich, jednak daremnie. I poszedłem wkońcu do domu, zasmucony myślą, że nie mogę dzielić mej radości z nią, której wszystko zawdzięczałem. Szukałem jej następnego wieczora i znowu następnego, przez cały tydzień... pytałem o nią wszystkich portyerów, we wszystkich sklepikach owej ulicy, jednak daremnie.

Nie znalazłem jej. 130,000 franków, które wygrałem owego wieczora, pozwoliły mi wziąć udział w pewnem zyskownem przedsięwzięciu i ożenić się bogato...

Luidora kazałem oprawić w szkło i noszę go jako brelok; jest to świadectwo ciągłej mojej winy... jest to jedyna skaza na mojem zresztą zupełnem szczęściu i dlatego bez smutku nigdy nań patrzeć nie mogę.



